Nr. 42 Rok 5 — Kraków, dnia 15 października 1944. — 40 gr.



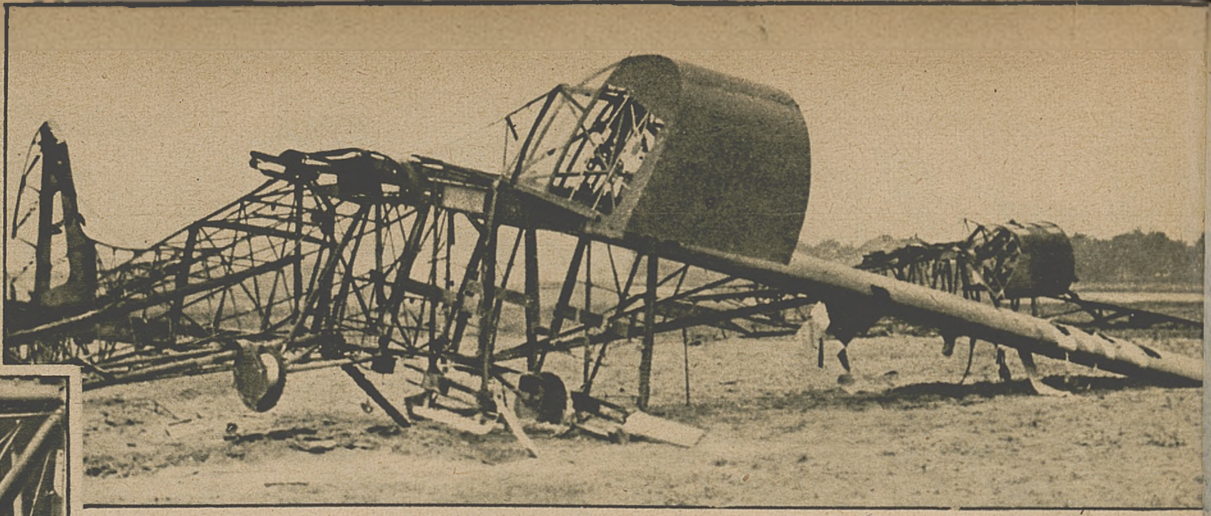
W WALCOWNI MIEDZI

Fot. Scherl

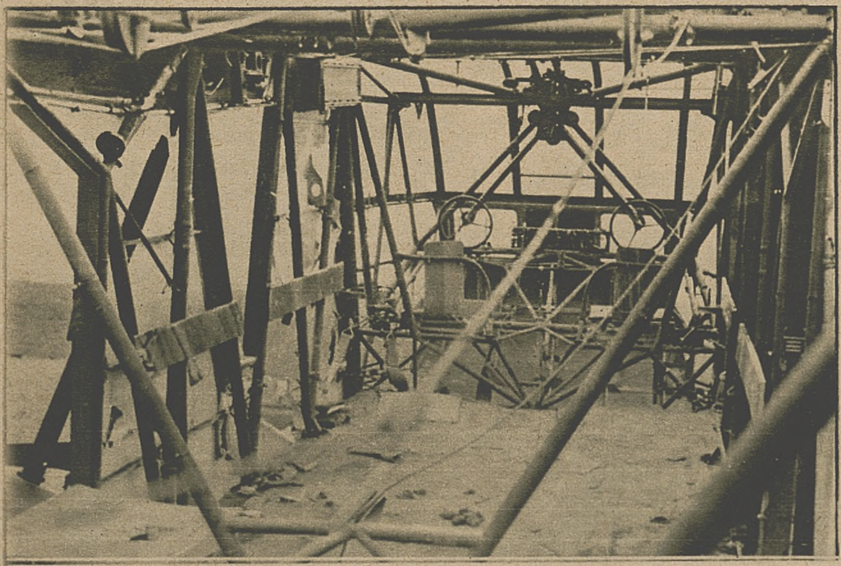
POD ARNHEIM

Zniszczenie pierwszej angielskiej dywizji desantu powietrznego w rejonie Arnheim jest nie tylko wojennym, lecz także psychologicznym sukcesem Niemców. Należy przy tym zaznaczyć, że dywizja ta składała się z wyborowych, specjalnie wyszkolonych sportowo i niezwykle dzielnie walczących żołnierzy alianckich. W zaciekłych walkach zdobyto ponad 6000 jeńców, zniszczono lub zdobyto około 1000 transportowych szybowców i zestrzelono ponad 100 samoltów.

Fot: PK Linden, Ritter, Adendorf-Atl., Seufert, Jakobsen-Sch., Linden-TO 2.



Wszędzie na terenach walk pod Arnheim leżą rozrzucone w nieładzie szkielety angielskich szybowców trans towych, które spłonęły zestrzelone przez niemieckich żołnierzy. Wielkie ilości dział, aut i innego materiału jennego zostały przy tym zniszczone.



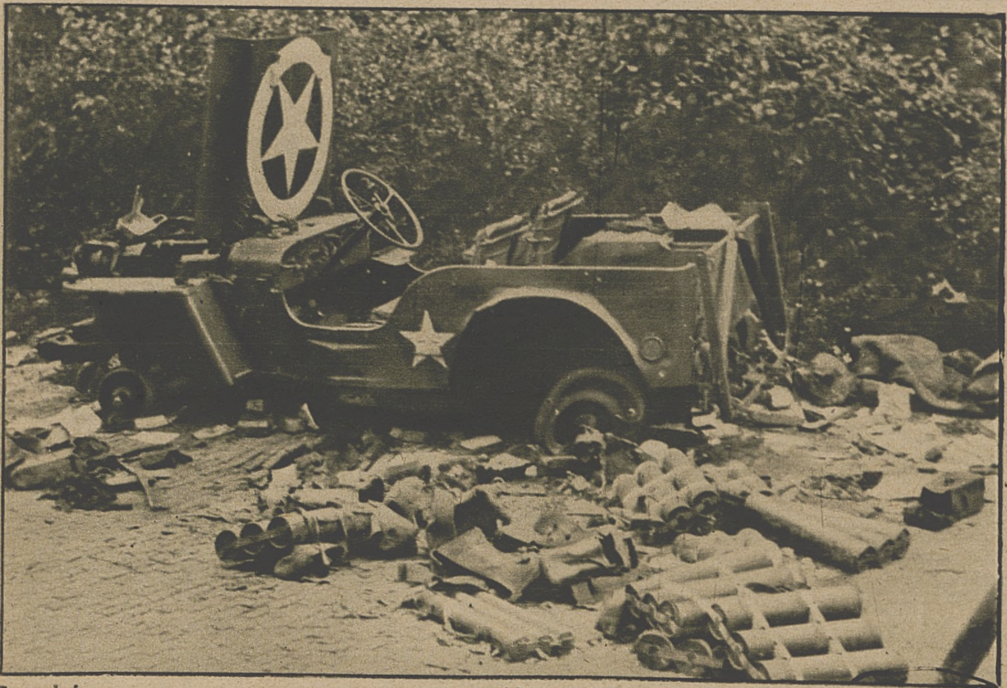






Na lewo u góry:
Niemieckie działo pancerne walczy na jednej z ulic Arnheimu.

Powyżej:
Całe pole pokryte zrzuconymi z samolo spadochronami, które miały zaopatrzyć ang skie wojska w amunicję i żywność.





Powyżej:
Wszędzie na polu bitwy stoją auta, leży amunicja i najrozmaitszy sprzęt wojenny. Rzeczy te przywiezione przez szybowce transportowe dostały się w ręce niemieckie.

Na prawo:
Niemieccy grenadierzy maszerują w obszarze Arnheim. Po obu stronach ulicy stoją brytyjscy jeńcy.

STRAŻNICY W LATARNI MORSKIEJ



ZMIANA OBSŁUGI LATARNI MORSKIEJ
Niezwykle ciężką jest służba w latarniach morskich, które wskazują drogę okrętom zbliżającym się do wybrzeży. Latarnicy pełnią swą służbę przez trzy tygodnie i są w tym czasie zupełnie odcięci od świata. Na zdjęciu na lewo widzimy okręt, który wiezie ludzi mających zluzować strażników. Statek ten zarazem wiezie prowiant i wodę.

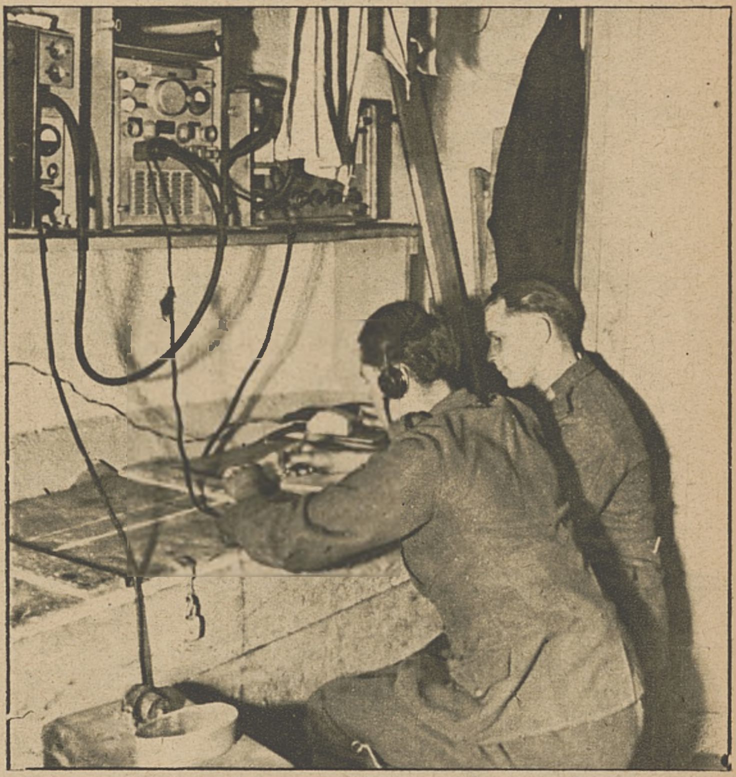
Na prawo:
PRZY REFLEKTORZE
Reflektor umieszczony na najwyższym piętrze latarni morskiej jest najważniejszym instrumentem. Zawsze musi on być utrzymywany w największej czystości i porządku.

Poniżej:
NOWA STRAŻ PRZYBYWA
Po przybyciu na wyspę, znoszą żołnierze zapasy do wnętrza latarni. Drzwi latarni są umieszczone bardzo wysoko, ze względu na wysokie fale i przypływ.

Fot: PK Feitl-TO.







Powyżej:
TELEGRAFISTA
musi bacznie nasłuchiwać sygnałów przesyłanych przez zbliżające się okręty.

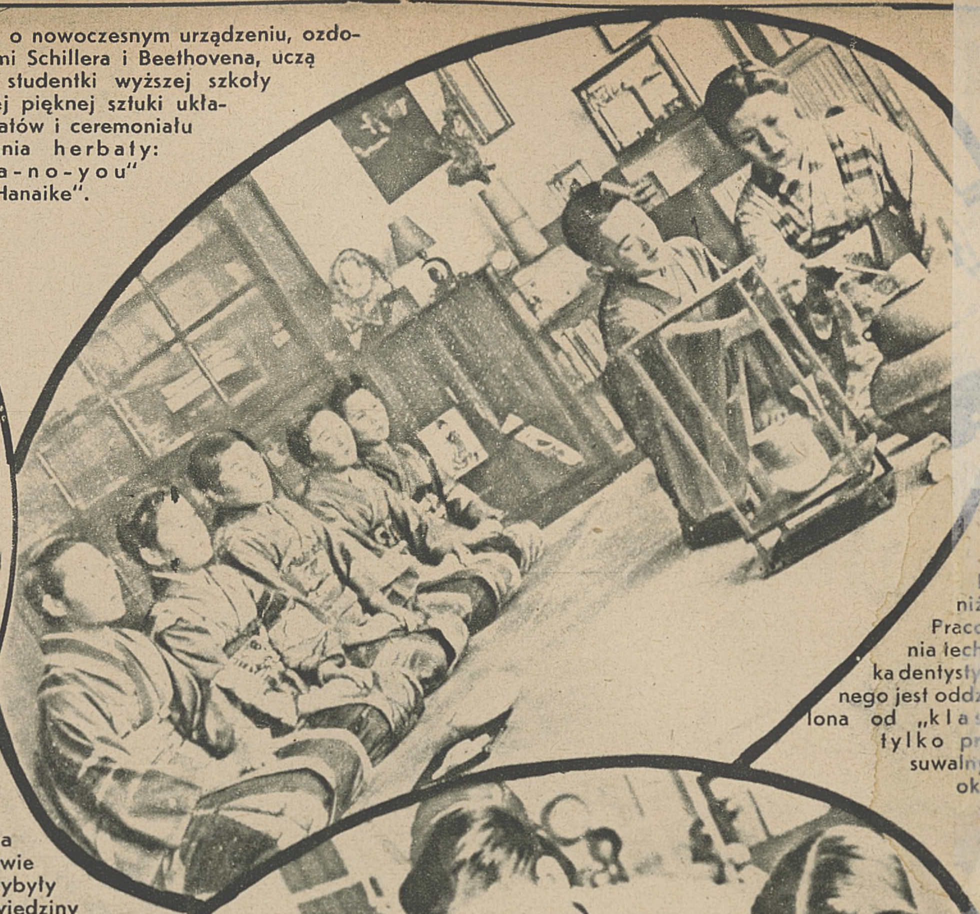
PO SŁUŻBIE
Straż wypoczywa po całodziennej pracy.



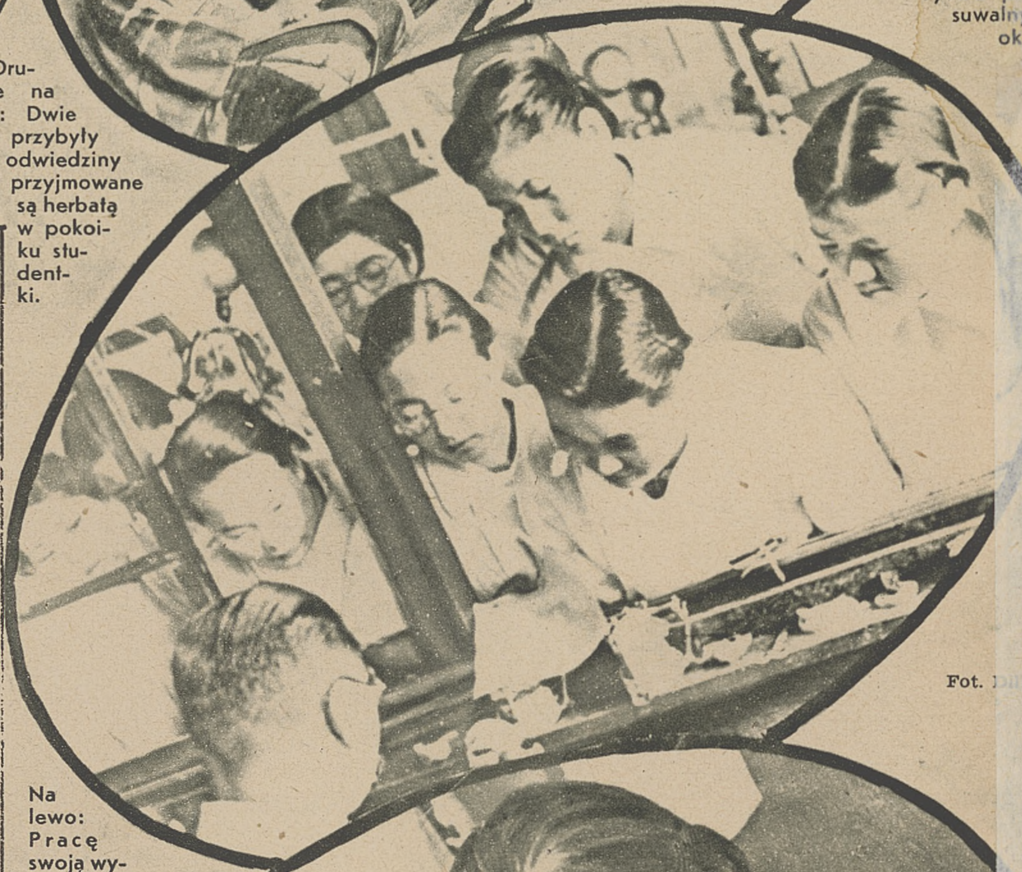


W praktycznej części kursu formują uczestniczki zęby z gipsu, według olbrzymich modeli metalowych.

Na prawo: W pokoju o nowoczesnym urządzeniu, ozdobionym portretami Schillera i Beethovena, uczą się japońskie studentki wyższej szkoły dentystycznej pięknej sztuki układania kwiatów i ceremoniału podawania herbaty: „Cha-no-you" i „Hanaike".



Poniżej: Pracownia technika dentystycznego jest oddzielona od „klasy" tylko przesuwalnymi oknami.



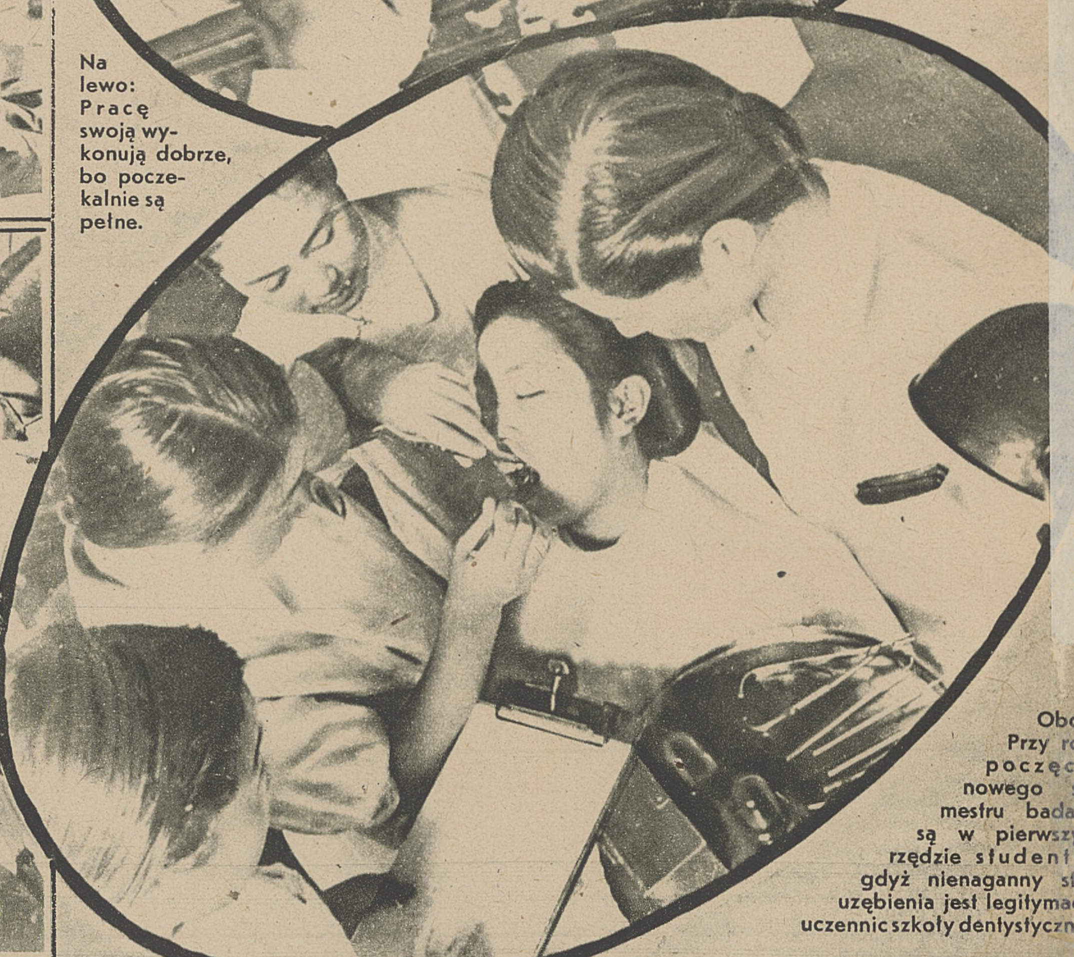
Fot.

Drugie na lewo: Dwie siostry przybyły ze wsi w odwiedziny do Tokio i przyjmowane są herbatą w pokoiku studentki.





Na lewo: Pracę swoją wykonują dobrze, bo poczekalnie są pełne.



Obok: Przy rozpoczęciu nowego semestru badane są w pierwszym rzędzie studentki, gdyż nienaganny stan uzębienia jest legitymacją uczennic szkoły dentystycznej.





DENTYSTKI

Szczególnie umiłowanym przez nowoczesne Japonki jest zawód dentystki. W 1917 r. założona została w Tokio wyższa szkoła „Toyo Joshi Shika Isen", w której co roku ma możność kształcenia się 600 młodych Japonek.

Kurs trwa 2½ roku i kończy się egzaminem, po odbyciu którego absolwentki przystępują do wykonywania praktyki u jednego z lekarzy dentystów.

Powyżej na lewo:

W pracowni rentgenologicznej uczą się studentki sprawnego obsługiwania różnych aparatów potrzebnych do zawodu.

Powyżej:

W laboratorium technicznym zaznajamiają się studentki z lutowaniem oraz sporządzaniem szczęk i koron.

W następnych latach powstały także dalsze szkoły dla kształcenia dentystek, ale zakład w Tokio jest największym z nich i ściąga ku sobie uczestniczki z całego kraju. Obok nauki zawodu program szkoły przewiduje także sztukę zdobnictwa kwiatowego, układania kwiatów w wazonach, jak również ceremoniału przy podawaniu popołudniowej herbaty. Te dwie czynności bowiem musi opanować każda Japonka, jeśli chce uchodzić za wzorową panią domu.

REMBRANDT

275 lat minęło od chwili gdy garstka przyjaciół oddała wiecznym mrokom wielkiego malarza światła, a kościelny zapisał lakonicznie w księdze pogrzebowej Amsterdamu: 8. X. 1669 r. Rembrandt Harmensz van Rijn — malarz.

*

15 lipca 1606 r. czytamy w księdze urodzin w Lejdzie wzmiankę o przyjściu na świat najmłodszego syna młynarza van Rijna, któremu nadano na chrzcie św. i bystrych oczach. Wszędzie ta sama twarz. Tylko coraz inny ruch i wyraz. Tu profil, tu twarz zwrócona wprost na widza. Coraz inne studium, coraz inne oświetlenie. Jakby kto promień światła rzucił na obraz tak świecą jasne miejsca, gdy tymczasem ciemne giną, roztapiają się w głębokich miękkich cieniach. A głowy malowane żyją, wychodzą z tła niby rzeźby, zdaje się że można je ręką ująć.

Dokończenie na stronie 8

W owalu:
REMBRANDTA „PORTRET MĘSKI"
Własność Galerii króla Stanisława Augusta, wywieziony do Rosji w r. 1895, później odzyskany.

Na lewo:
SZCZĘŚLIWE DNIE REMBRANDTA
Czas beztroskich chwil mistrza znalazł wyraz w obrazie „Rembrandt z żoną Saskią"—w arcyciekawym ujęciu tematu szczęśliwych godzin małżeńskiego pożycia artysty.







Powyżej:
PORTRET POLSKIEGO SZLACHCICA
Jest to jedno z najbardziej mistrzowskich „charakterystycznych" malowideł Rembrandta, wskazujące, jak daleko sięgała sława mistrza z Amsterdamu już za jego czasów.

Fot: Archiw

Poniżej:
„STRAŻ NOCNA"
Reprodukowany tego tytułu obraz Rembrandta, przyniósł mistrzowi wiele kłopotów i późniejszych niepowodzeń na polu twórczym.

rzadkie imię Rembrandta. — Mija lat kilka. Około wiatraku stojącego nad brzegiem Renu, wśród rozległej równiny Holandii snuje się 14-letni chłopiec mały, krępy, nieładny, o grubych rysach i bystrych oczach. Chłopiec nie kwapi się do książki, choć ideałem rodziców jest uczynić zeń uczonego i wykierować na jakiegoś doktora może czy adwokata. Małemu Rembrandtowi nie w smak szkoła; on woli rysować lub godzinami całymi wpatrywać się w migotliwe drgania światła przenikającego przez szczeliny młyna; czasem staje we drzwiach i przymrużywszy oczy ściga badawczym wzrokiem uwijających się młynarczyków, potem zaś chwyta ołówek i śmiałymi pewnymi liniami szkicuje tylko co zauważone postacie. Nad duszą tego dziwnego chłopca niepodzielną władzę objęła sztuka. Toteż po krótkim pobycie Rembrandt opuszcza uniwersytet lejdejski i trzy lata studiuje w pracowni malarza Jakuba van Swanenburga; następnie przechodzi na naukę do Piotra Lastmana w Amsterdamie, od którego ucieka jednak po kilku miesiącach w strony rodzinne do młyna. Tu pracuje pilnie patrząc dokoła i odtwarzając to co widzi po swojemu, uczy się sam, za jedynego nauczyciela mając naturę. Najchętniej maluje siebie lub utrwala na papierze twarze rodziców. Dziwnie pociągają go jako studium nędzarze i żebracy. Na próżno by było szukać w tej epoce jego życia obrazów czy szkiców ludzi młodych i pięknych. Upływa lat parę. W bogatym Amsterdamie zwracają uwagę znawców liczne portrety młodzieńca o grubych rysach



Matko! Gdzie jesteś?



Poniżej:
Ten chłopczyk nie zna jeszcze swojego imienia. Znaleziono go wśród ruin palących się jeszcze domów. Lewe ramię ma zranione i prowizorycznie obandażowane.

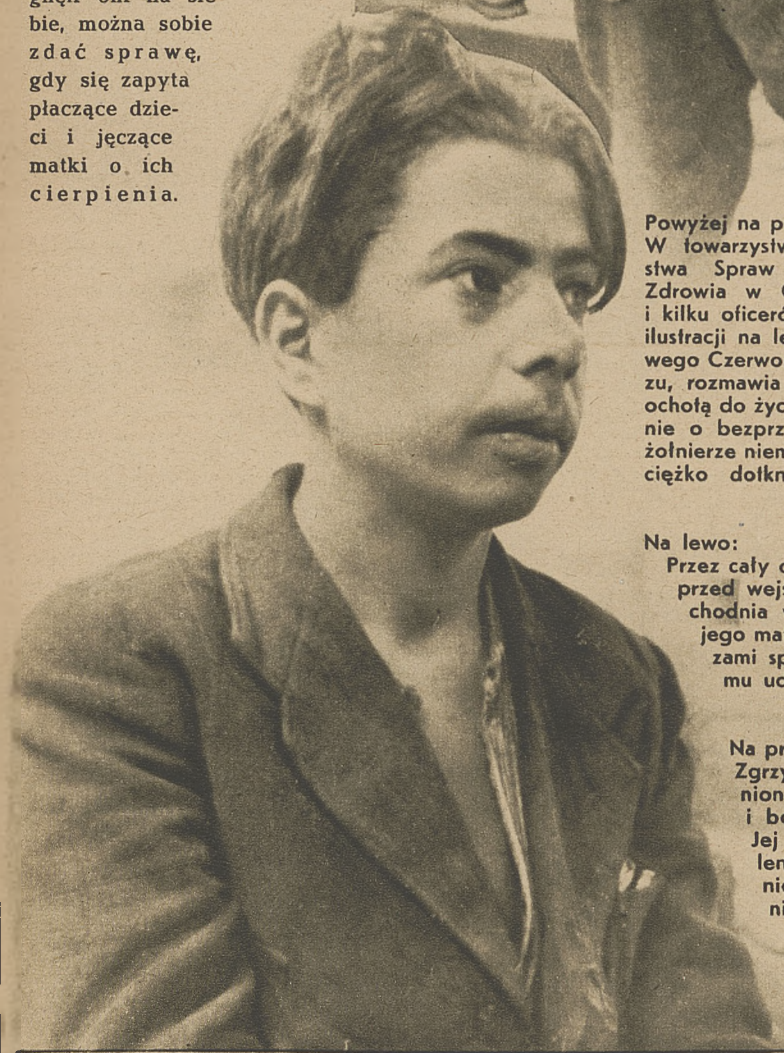


Powyżej:
Nowy transport przybywa z Warszawy. Żołnierze niemieccy opiekują się śmiertelnie znużonymi i przejętymi męczącą niepewnością kobietami. Zwątpiły one już w swoje życie, dopóki nie zostały wydobyte z piwnic przysypanych gruzem. — Troskliwie układają żołnierze ranną kobietę na noszach.

Fot: ϟϟ-PK Kurbjuhn

Wymęczeni kilkutygodniowym pobytem w ciemnych piwnicach i kanałach znajdują Warszawianie schronienie i opiekę w zbiorowych obozach, zaopatrzonych przez żołnierzy niemieckich we wszystkie możliwe środki pomocy. Na twarzach ludzi widzi się przeżycia, które są jednym wielkim oskarżeniem pod adresem londyńskich i moskiewskich podżegaczy. Jaką winę ściągnęli oni na siebie, można sobie zdać sprawę, gdy się zapyta płaczące dzieci i jęczące matki o ich cierpienia.



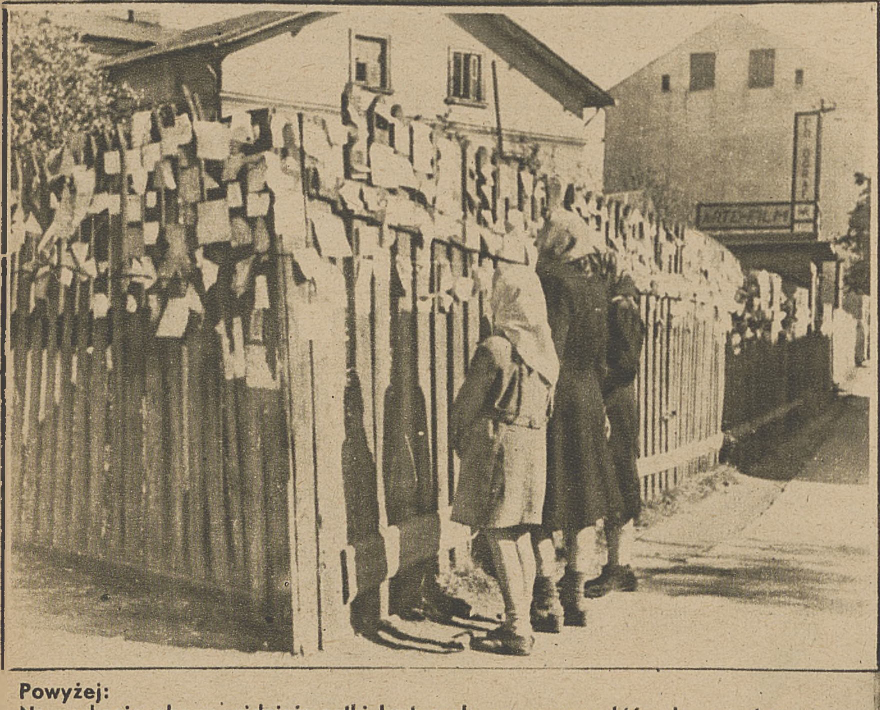


Powyżej na prawo:
W towarzystwie przedstawiciela Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Prezydenta Zdrowia w Generalnym Gubernatorstwie i kilku oficerów ϟϟ zwiedza pan Wyss (na ilustracji na lewo), delegat Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, urządzenia obozu, rozmawia z wielu natchnionymi nową ochotą do życia ludźmi i wyraża się z uznanie o bezprzykładnej troskliwości, z jaką żołnierze niemieccy udzielili pierwszej pomocy ciężko dotkniętym mieszkańcom Warszawy.

Na lewo:
Przez cały dzień siedzi ten 15-letni chłopiec przed wejściem do obozu. Każdego przechodnia wypytuje czy nie widział gdzie jego matki? Czy nie leży gdzieś pod gruzami spalonych domów? Nikt nie może mu udzielić odpowiedzi.

Na prawo:
Zgrzybiała staruszka siedzi osamotniona w kąciku obozu. Przerażenie i boleść malują się na jej obliczu. Jej trzej synowie nie żyją, zastrzeleni, gdy odważyli się opuścić piwnicę, aby postarać się o pożywienie i wodę dla matki.





Powyżej:
Na parkanie obozu widnieją setki karteczek, za pomocą których poszukują się wzajemnie członkowie rodzin rozdzielonych przez wybuch powstania. Przed płotem wystają dzieci w poszukiwaniu wiadomości od swoich rodziców.



Dokończenie

Sądząc człowieka spełniamy ciężki obowiązek, musimy poddać ścisłej kontroli uczucia, budzące się w nas w związku z wyglądem, postawą i obroną oskarżonego. Uśmiech, miły dźwięk głosu i ciche odpowiedzi mogą być świetnie zagraną komedią. Aktorów spotyka się nie tylko na scenie.

Nie wolno sądzić z pozorów. Głos serca nie może obalić głosu rozumu i odwrotnie — sąd rozumu musimy łagodzić sercem. I to nie wyklucza omyłek. Oskarżony i sędzia stoją na tym samym podium ziemi, są ludźmi.

6. LEKCJA

Świadomość, że ma się obok siebie człowieka, który kocha sprowadza słodką niemoc, czujemy się bezpieczni w drogich, kochanych ramionach.

Dwoje ludzi usiłuje w ramach domu stworzyć odrębny mały świat własny. Bezwolnie poddajemy się błogiej ciszy, miłość bliska, obok uspokaja i wierzymy, że istnieć będzie zawsze.

Świadomość, że daleko istnieje człowiek, który kocha obdarza siłą, tęsknota gorąca jest bronią w walce o przetrwanie dni złych, niespokojnych, ciężkich. Dwoje ludzi stawia opór pokusie, rozłąka umacnia uczucie.



Energicznie przeciwstawiamy się ciosom. Miłość odległa podnieca i ufamy jej mocy. Miłość żyje dalej!

Iruś! Maleńka! Kochana! pamiętaj zawsze, że czekam...

Irka nie czyta dalej. Nie może — ktoś przeszkodził...

W wózku poruszyło się dziecko, synek Irki.

Młodziutka pani Łuczańska pochyliła się nad listem męża, pisanym w pierwszym dniu wojny. Od tego czasu minęły cztery miesiące i nie ma żadnej wiadomości. Leszek zaginął.

Została z synkiem. Maleństwo rozwija się doskonale, rośnie w oczach, wykazuje energię, bezustannie przebiera nóżkami i rozkopuje powijaki, pije sporą ilość mleka „z flaszki", wrzeszczy gdy zabiera mu się „cumelek", a w nagrodę za pieszczoty i czułą pracę rąk matczynych uśmiecha się czasem.

Irka podeszła do wózka. Z niewypowiedzianą słodyczą wpatruje się w twarzyczkę dziecka — jakieś nowe uczucie kiełkuje, dojrzewa. W Irce budzi się serce matki.

7. LEKCJA

Irka pracuje. Codziennie rano przynosi z biura przepisywania podań plik konceptów. Zakłada arkusz na maszynę i zaczyna wystukiwać. Tłoczą się litery za literami, układają się w zdania, strony, kartki. Mechanicznie spełnia czyjeś polecenia. Temat nie interesuje nigdy. Proszący ludzie! Irkę przenika uczucie pogardy. Nienawidzi tej formy: „upraszam uprzejmie", „ośmielam się zwrócić z prośbą", „proszę usilnie"... Najchętniej wrzuciłaby do kosza te wszystkie świstki, zapisane drobniutko ale gardzi prośbą, a nie zapracowanym chlebem. Praca daje jej chleb. Palce rozpoczynają wyścig. Ręka wykazuje technikę, czcionki, uderzane rytmicznie zarysowują się czernią na jasnych arkuszach. Ustawia słowo za słowem w linijkach, cyfrę za cyfrą w kolumnach.

Mijają dnie jednostajne, podobnie jak teksty zdań wypisywane codzień. Do nowych dni garniemy się z rana, a wieczorem odrzucamy je z ulgą jak balast. Zasypiamy z uczuciem pustki.

Irka przeżywa niepotrzebne godziny... i pisze, pisze długie podania... Nagle przerwała.

Zatrzymała wzrok na dwóch ostatnich słowach. Jakaś matka pisała do Czerwonego Krzyża:-Szukam syna...

Jak w kalejdoskopie przesunęły się różne wizje. W jednej chwili pojęła, że nawet w podaniach nie wszystko jest martwą, suchą formułką i szablonem.

Zapisane arkusze ożyły, stały się bliskie.

Zrozumiała tragedię prośby ludzkiej, błagającej o litość, często tylko o list pocieszenia, — że wróci...

8. LEKCJA

Nie! To niemożliwe! To nie mogło się stać. A jednak! Jest prawdą. Irena czuje jeszcze na wargach obcy, wstrętny d o t y k, palą policzki, ręce, szyja, całe ciało, każda cząstka — każdy centymetr skóry.

Wydaje się sobie obca — ona — Irka!

To prawda!

Dlatego, że za w s z e l k ą cenę chciała uciec od samotności stałej, codziennej, dwuletniej, znaleźć się w mocnych, męskich ramionach, utonąć w pocałunkach byle jakich — i zapomnieć, chociaż na godzinę.

Broniła się już od szeregu miesięcy, tym bardziej, że przypadkowo „on" zewnętrznie był trochę podobny do męża (Irka nawet w myśli nie chce powtórzyć imienia).

Urzędnikowi z biura podań podobała się śliczna, młoda kobieta.

To jest mój typ. Mawiał. I nie ujdzie mi na pewno.

Mężczyzna tropił, polował jak na upatrzoną zwierzynę.

Irka dopiero teraz zrozumiała wszystko.

Poznała cynizm przy rozstaniu i ironiczny uśmieszek zdobywcy, błąkający się na ustach: zrobiłem swoje — chyba jesteś zadowolona!

Nienawidzi go! Tak! Nienawidzi pierwszego człowieka w swoim życiu za niedbałość, lekceważenie w każdym ruchu, za dobre słowa rzadkie — jak jałmużna, ofiarowana żebrakowi.

Irka otrząsa się.

Najważniejsze, że to przeminęło, że nigdy nie spotka się więcej z parą oczu, które kłamią błękitem tęczówek i umieją patrzeć złośliwie.

Ona już nigdy nie wyciągnie ręki po miłość.

Leszku! Przyjdź!

9. LEKCJA

Mamusiu! Opowiedz mi coś o Tatusiu!

Irka przestała się uśmiechać i nagle posmutniały ciemne oczy, delikatne wspomnienie przeszłości przesłoniło je na sekundę, ale po chwili melodyjny głos zabrzmiał znowu:

Zbysiu! Ty jesteś podobny do Tatusia. Masz jasne oczy, ciemne włosy, chwilami wydaje mi się, że co dzień przypominasz go więcej.

Matka przerwała. Przecież nie o to pytało ją dziecko. Ona bezwiednie wypowiadała głośno swoje spostrzeżenia. Rumieńce paliły, łzy cisnęły się do oczu. Dziecko się zaniepokoiło.

Mamusiu! Co ci jest? Czemu płaczesz? Jak będę dorosły... o taki duży — Zbysiu stanął na palcach i rączkę wzniósł do góry — to nigdy (zastanowił się) — nie pozwolę ci płakać.

Ale z gardła Irki wyrywa się szloch, powstrzymywany od szeregu lat przechodzi w łkanie rozpaczliwe, zawodzące, jakiś ból powoduje skurcz serca. Łkanie cichnie. Płyną bezgłośne łzy.

Mamusiu! Ja cię tak kocham — Irka słyszy znowu głos synka.

Będę grzeczny jak się uśmiechniesz. Posłuchaj mnie. Proszę.

Przetarła oczy i długo wpatrywała się w twarzyczkę dziecka. W miarę intensywnego przyglądania się wracał spokój.

Nerwy musi trzymać na wodzy, nie wolno jej zaniedbywać obowiązków. Obok niej oddycha niewinna istotka, rośnie skarb, człowiek, który powstał z wielkiej miłości, jej cząstka.

Zadaniem matki jest wychować syna, nadać kształt duszy, nauczyć go miłości ludzi. Zbyszek jest treścią, dla której warto i trzeba żyć!

Mamusiu! Czemu płaczesz?

Dziecko przytuliło się do niej, przywarło drobnym ciałem, całowało oczy wilgotne, zapłakane.

Dziś Zbyszek kończył 5 lat. Był dwudziesty czerwiec 1944.

10. LEKCJA

Jedenasta w nocy. Irka nie może zasnąć. Niepotrzebne myśli kłębią się stale, nie pozwalają zmrużyć oczu, przemawiają prostym, nieskomplikowanym językiem, trzeźwo narzucają swą wolę — i męczą.

Młoda kobieta przypomina sobie kilka lekcji życia.

Jakieś cierpienia różne, a jednakie, tęsknoty przedziwne, oczekiwania i kontrasty. Rzeczywistość, zadająca kłam marzeniu, obok każdego światła, cień, obok uśmiechu, łzy, obok szerokiej drogi, ścieżki, obok szablonu, oryginalne ujęcie, szkice, nakreślone sercem, napiętnowane bólem jednostki, obok uczucia, szał zmysłów.

Dawno, dawno pamięta doskonale z niesłychaną wyrazistością...

1. ... nie dosłyszałam pytania, panie profesorze.
   Ile razy nie słyszy się pytania, a trzeba odpowiedzieć.
2. Ulica śmiała się głośno — auto potrąciło gazeciarza. Śmierć złożyła pocałunek na roześmianej ulicy w słoneczne południe jasnego dnia.
3. Zukunft I, Zukunft II, czas przyszły — jutro, którego się nie przeczuje.
   Profesor miał słuszność.
4. Miłość przydrożna, ludzie przydrożni.
   Czemu i ja spotkać musiałam przydrożnego człowieka?
5. Sądzić na podstawie pozorów nie można.

Mam śmiejące się oczy, jestem młoda, a jednak czuję, że z dnia na dzień tracę siły, załamuję się. O tym nikt się nie dowie.

6. Świadomość, że obok siebie ma się człowieka, który kocha...
   Świadomość, że daleko istnieje ktoś, kto kocha... i kompletna nieświadomość, zawarta w słowie: zaginął.
7. Tysiące słów nieważnych, rzucanych na urzędowe podania i jeden okrzyk bólu matki, trafiający do najdalszych zakątków duszy człowieka, pozwalający odczuć potęgę współcierpienia.
8. Bojaźń przed samotnością przezwycięża wstręt fizyczny. Smutny eksperyment może przekonać dosadnie, że dawka narkotyku jest za słabą, nie działa. Po przebudzeniu pozostaje niesmak.
9. Cudowne ciepło, płynące z ciałka własnego dziecka, maleńkie rączki, złożone ufnie w dłoni matczynej, najdroższe oczy wpatrzone, przenikające czystością spojrzenia do głębi, słodka melodia, dźwięcząca w wołaniu: mamusiu.
   Irka zasypia.

Śni się jej, że jest na wielkim festynie. Co to?

Mieszają się ulice Lwowa, Krakowa, Wiednia. Cały świat jest parkiem festynowym.

Uśmiechy ludzkie są nacechowane wieczną żądzą poznania i zdobycia. Obok pochylonych ludzi przewijają się inni. Jacy? Czy naprawdę ludzie? Tak! Ludzie, przebrani za klownów, uszminkowani jaskrawie.

Jest festyn!

Irka rzuca się w wir zabawy.

Podają jej kolorową puszkę. W puszce znajduje się dużo losów. Ktoś krzyczy: wybieraj!

Na ślepo wszyscy rzucają się na losy, chcą porwać jeden, zapowiadający wygraną. Gwałtownie rozwijają zmięte papierki.

Rozczarowanie przychodzi szybko. Losy są puste.

Dla nich loterią — życie.

Irka rozumie.

Każdy rok jest kolorową puszką, w której znajduje się 365 losów, 365 niewiadomych dni.

Do Irki zbliża się jakiś smutny, pochylony człowiek, jej profesor, kochany profesor historii.

Zestarzał się bardzo.

Panie profesorze! Dobrze, że spotykam pana. Proszę przypomnieć sobie uczenicę. Chce odpowiadać, chociaż pan nie zapytał.

Czekałam na dni. Dni przychodziły, jak losy. Wieczorem myślałam o tym, że dzień skończony nie miał treści, nie spełnił oczekiwania, był pusty. I znowu czekałam dalej. I znowu szukałam dalej, nie znałam jutra, zamaskowanego doskonale na raucie wiosennych, letnich, jesiennych i zimowych — karnawałowych nocy wytworną toaletą mrocznego nieba i mimiką, skrzących się gwiazd.

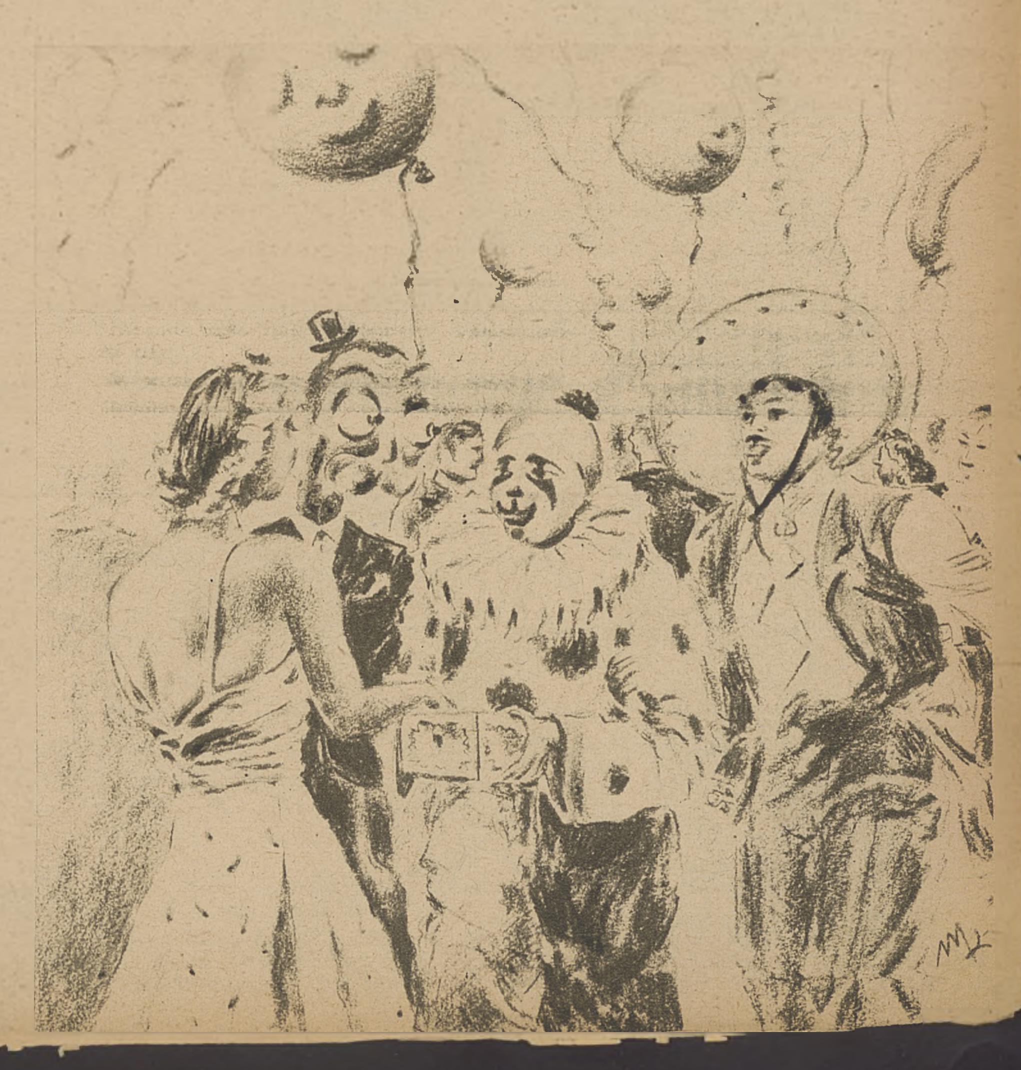
Panie profesorze!

Mam dwadzieściapięć lat, 7 lat temu zdałam maturę, ale wciąż nie jestem dojrzała, pozostałam uczennicą.

Słuchałam wykładów codziennych, gorzkich, smutnych, złych, dobrych niewiele, ale wierzę, że kiedyś przyjdzie jedna radosna lekcja — trwałego szczęścia. Ona wynagrodzi wszystko.

Irka poruszyła się.

Profesor położył rękę na głowie sympatycznej uczennicy i powiedział cicho: Leszek wróci.



REMBRANDT

JEDEN Z NAJWIĘKSZYCH REPREZENTANTÓW EUROPEJSKIEJ KULTURY

Dokończenie ze strony 5

Znawcy kręcą głowami. Rembrandt van Rijn!! Kto on? Skąd się wziął? Gdzie jego mistrze? Ale mistrzów Rembrandta nie dostrzeże się łatwo, po prostu dlatego, że ich prawie nie było. Rembrandt Odrodzenia włoskiego nie znał lub znać nie chciał. Dla wypowiedzenia tego co czuł i widział musiał szukać więc nowej formy. Znalazł ją w głębi własnej duszy i własnej fantazji artystycznej. W jaki sposób? Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Tu właśnie stajemy na progu owej zagadki, której żadne na dziejach żywota mistrza oparte komentarze nie są w stanie wyjaśnić.

Upływa znów lat kilka. Teraz już nikt nie pyta kto Rembrandt. Zna go Amsterdam, znają inne miasta Holandii. Rozgłos taki zawdzięcza obrazowi pt. „Lekcja anatomii", który zamówił u niego dla cechu lekarzy sławny chirurg a zarazem burmistrz miasta, van Tulp. Obraz ten zachwycał wszystkich oryginalnością kompozycji, gdyż Rembrandt skupił spojrzenia siedmiu słuchaczy na jednym punkcie, na demonstrowanych zwłokach i podczas gdy każdy odnajduje swe podobieństwo, powstaje jednak ożywiona całość. Rembrandt staje się modny. Odwiedzają go kupcy i oficerowie, książęta i mieszczanie, a każdy pragnie mieć portret malowany przez sławnego mistrza i dobrze zań płaci. Rembrandt ma lat 26, a już głowę jego otacza aureola sławy, bogactwo ściele się do stóp, do drzwi puka szczęście i miłość. Rembrandt poślubia w tym czasie piękną i bogatą sierotę, współdziedziczkę wielkiego majątku Saskię van Ulenburgh. Saskia ukochana żona staje się teraz ulubionym modelem męża. Maluje ją niezliczoną ilość razy, strojąc w bogate szaty, obwieszając klejnotami. A zamówienia sypią się jak z rękawa.

W tym czasie maluje wiele typów egzotycznych, między innymi sławnego „Polskiego szlachcica" i jeszcze sławniejszego „Lisowszczyka". (Ten ostatni był własnością hr. Tarnowskich z Dzikowa i został sprzedany za granicę za cenę równą wartości kilku ładnych folwarków.)

Rembrandt nabywa piękny dom, urządza wspaniale pracownię. Nie brak w niej starych zbroi, ciekawych instrumentów muzycznych, perskich dywanów, artystycznych sztychów. Saskię zarzuca sznurami pereł, złotymi pierścieniami, stroi w płaszcze gronostajowe. Szczęście i powodzenie nie opuszczają van Rijna. Prace swoje zbywa dobrze, żyje wystawnie, skupuje starożytności i zawsze łaknie pieniędzy. Z rąk jego wychodzą coraz to nowe obrazy rodzajowe, biblijne, krajobrazy, portrety, a wszystko drga życiem, porywa siłą światła. Dla oddania duszy malowanych przez siebie modeli znalazł mistrz znakomity środek w światłocieniu. Roztapiając w cieniu to, co w danym przedmiocie, obliczu ludzkim jest przypadkowo mniej ważne, mniej cenne, a rzucając pełne skoncentrowane światło na rzeczy ważne i istotne wydobywa Rembrandt najgłębsze, najbardziej ukryte cechy duszy człowieka. Innym środkiem, którym operuje Rembrandt jest kontrast. Nie polega on na przeciwstawieniu brzydoty i piękna, takich lub innych symbolów, lecz na różnicy traktowania malarskiego poszczególnych części obrazu. Wykańczając z umiłowaniem i precyzją pewne szczegóły, zaznaczając zaledwie inne, skupia umiejętnie uwagę na tym co w obrazie jest najbardziej istotnego, na tym co stanowi jego rzeczywistą treść.

W owej chwili, gdy mistrz stoi na szczycie szczęścia i sławy spada na niego cios nieoczekiwany. Saskia, śliczna ukochana Saskia opuszcza go na wieki, zostawiając kilkomiesięcznego synka Tytusa. Ta śmierć niespodziewana była dla Rembrandta uderzeniem piorunu. Cóż go obchodzi, że ostatni z ówczesnych jego obrazów pt. „Straż nocna" który dziś uchodzi za jeden z największych arcydzieł mistrza spotkał się z ostrą krytyką całego miasta. Obraz ten zrobiony na zamówienie dla bractwa strzelców zawieszono na jakiejś na pół zapomnianej ścianie. Na ścianę tę zarazem wygnano i sławę artysty.

Minęło znów lat kilka. W życie mistrza wchodzi druga kobieta Hendrikje Stoffels i ona tak jak tamta pierwsza aż do śmierci swej miłuje go i jest mu we wszystkim oddanym przyjacielem. Ale ze śmiercią Saskii szczęście opuściło mistrza już na zawsze. Coraz większy jest ubytek klienteli malarza. Przyczyniła się do tego także i wojna z Anglią. Coraz częściej mistrz odczuwa brak gotówki, zaciąga długi i by zdobyć niezbędne mu na spłacenie długów pieniądze wdaje się w szpekulacje, traci wszystko i ogłaszają go bankrutem.

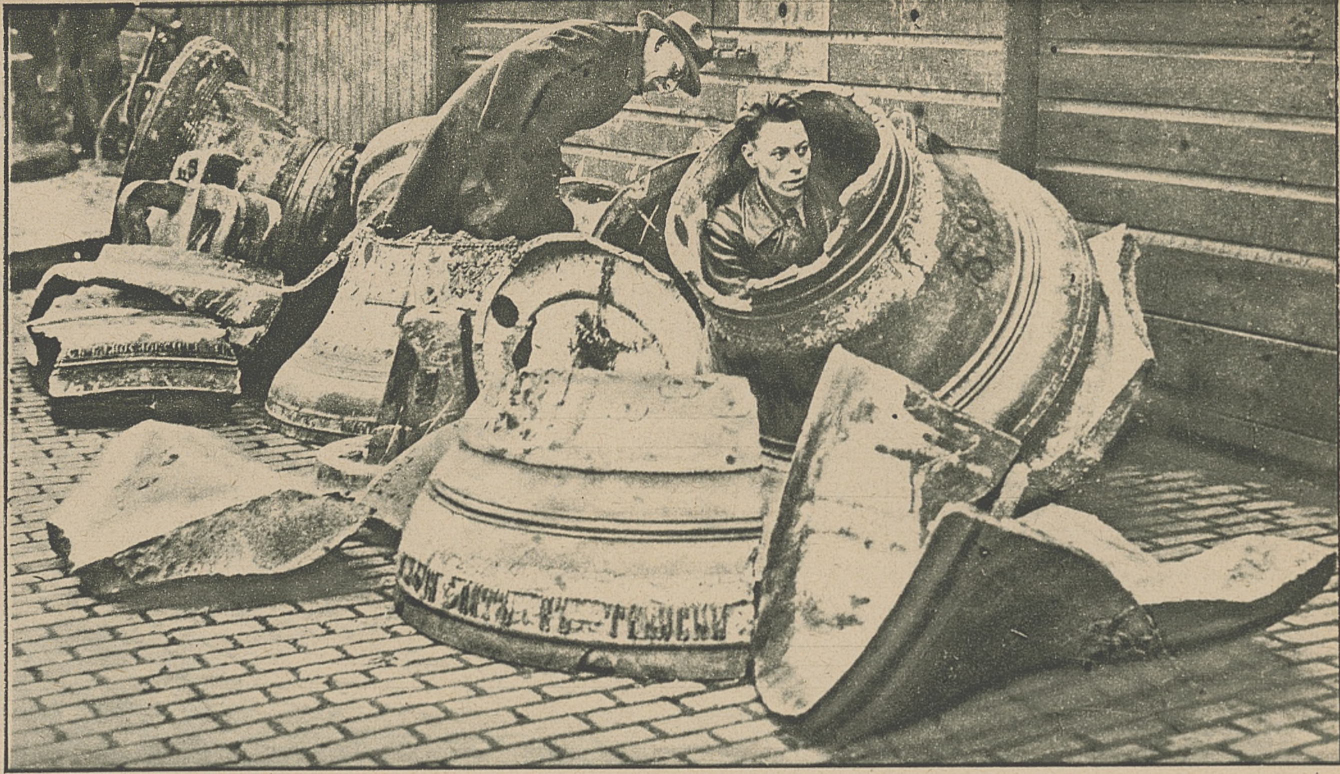
Dom w którym tyle lat żył szczęśliwie sprzedano na licytacji jak również cenne jego zbiory. W czasie całej licytacji Rembrandt stoi w milczeniu i przysłuchuje się oszacowywaniu rzeczy. Widzi jak przedmiot po przedmiocie za bezcen sprzedany przechodzi w ręce handlarzy. Opuściwszy salę licytacyjną udaje się do swej izby i rysuje na płycie powalonego nagiego mężczyznę. Ale nad powalonym unosi się Feniks.

Mija znów lat kilka. Rembrandt, syn młynarza, który żył niby książę z bajki jest nędzarzem. Mieszka na krańcu miasta w ciemnej norze. Nikomu nie przyjdzie na myśl, by wyratować go z niewoli długów. Ludzie nie chcą zamawiać u niego obrazów. Przy tym czczą jego imię jednak tak jak imię zmarłego artysty. Co za dziwny paradoks życiowy! Rembrandt ginął z nędzy w czasie, kiedy jeden jego obraz miał zawrotną, jak na owe czasy, wartość kilkuset guldenów.

Jest źle i nigdy nie będzie lepiej. Teraz dopiero w ostatnim dziesięcioleciu swego życia wyzbyty mienia, zapomniany przez świat wydobywa z niezbadanych głębin duszy ostatnie tajemnice. Teraz dopiero jako starzec i jako nędzarz czuje się zupełnie spokojny i zezwala barwom tej ziemi by jarzyły się szczodrze na postaciach jego snów. To bowiem co maluje jest już tylko barwnym snem. Coraz większa nędza zagląda do izby Rembrandta. Syn jego Tytus dogorywa na suchoty. By zdobyć niezbędne na kawałek chleba pieniądze Rembrandt chwyta się różnych zarobków. Raz nawet pozuje jednemu ze swych uczni jako kat do obrazu „Ścięcie Jana Chrzciciela". Dziwne myśli muszą kłębić się w głowie starca pozującego z rozwartą koszulą, podkasanymi rękawami i toporem w rękach. Gdyż skoro posiedzenie malarskie dobiegło końca i Rembrandt otrzymał guldena zapłaty i przyszedł do domu, stanął przed sztalugą i namalował opowieść o synu marnotrawnym.

W dżdżysty ponury dzień październikowy kona wielki mistrz niby lew ranny w odosobnieniu i samotności. Uczniów pozostawił wielu, ale żaden nie był jego spadkobiercą. Jedyna w swoim rodzaju sztuka Rembrandta do dziś nie znalazła godnego kontynuatora.

PRZYPOMNIENIE



ROZBITE DZWONY Z KOŚCIOŁÓW MOSKIEWSKICH, KTÓRE RZĄD SOWIECKI SPRZEDAWAŁ ZAGRANICĘ NA PRZETOPIENIE

(„Świadowid" z dnia 27. II. 1932).

ROZMAITOŚCI

W teatrze nadwornym w Darmsztadzie organizował „klakę" pewien cyrulik. Działo się to około roku 1850. Kazał on sobie płacić aktorom zależnie od długości i siły oklasków pięć do dziesięciu marek. Publiczność tamtejsza była jednak tak bardzo wytworną i konserwatywną, że uważała za nietakt zbyt silne i długie bicie braw, które zmuszało aktora do ukazywania się kilkakrotnego na scenie. Pomysłowy cyrulik nie przejął się jednak tym zbytnio, gdyż kazał on sobie aktorom płacić potem za to, że nie urządzał „klaki".

*

Król francuski Henryk II, mąż mądrej i energicznej Katarzyny Medici, był namiętnym graczem w piłkę. Grał on partie przypominające nasz tenis za 200 do 500 talarów. Wygrane w niektórych partiach wynosiły nawet do 6000 talarów. Król jednak uprawiał ten sport na sposób naprawdę królewski, gdyż płacił sam partnerom gdy przegrał, gdy wygrał nie brał nieniędzy.

*

W duńskiej wiosce Haller zakradł się pewien włamywacz do mieszkania malarza pokojowego. Ani malarza, ani jego żony nie było w domu tylko małe dzieci, które zaczęły głośno płakać i krzyczeć widząc obcego człowieka chodzącego po mieszkaniu. Spłoszony złodziej uciekł i zdążył zabrać ze sobą tylko torbę z białą farbą. Niezauważył jednak, że torba pękła, a farba wysypywała się znacząc w ten sposób drogę złoczyńcy. Dzięki temu ujęto go wkrótce.

*

Jedynym człowiekiem, któremu kasyno gry w Monte Carlo wypłacało rentę dożywotnią był milioner Stacheff. Milioner ten przegrał 7 milionów rubli przy grze w ruletę w salonach gry w Monte Carlo w roku 1912.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 220 61 ap. 64. Wydawnictwo Wielopole 1 tel. 135 60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



DOŻYNKI W KRZESZOWICACH
W majątku Krzeszowice odbyły się jak corocznie, także i w tym roku uroczystości zakończenia żniw, dożynki. Na lewo: Delegacja z wieńcem dożynkowym. Poniżej: Wspólny obiad dożynkowy. Sekretarz Stanu Dr Bühler i Prezydent Naumann wśród uczestników dożynek.



SERCOWE KOMPLIKACJE

M. A. HESSEL

Kwiaty kołysały się równo i rytmicznie w takt wiatru, który krążył wokół bez szmeru — cichy i lekki. Błyskały do słońca kielichy pełne zapachu i miodu, tak kolorowe, że barwy zdawały się — jak nisko szybujące chmury — unosić nad ziemią. Na delikatnych zrębach olbrzymich i nieprawdopodobnie kolorowych kielichów przysiadały równie olbrzymie i nieprawdopodobnie kolorowe motyle, o skrzydłach jak rozsnute wszerz ruchliwe tęcze.

W słodkiej ciszy tylko pszczoły grały — złote pociski, bezustannym balansowaniem łącząc drzewa z kwiatami, niebo z ziemią, słońce z trawą.

Tygrys legł w cieniu gęstwin i prężąc się z lubością, zmrużonymi od blasku ślepiami patrzył — pełen pokornego zachwytu — na pana, który stąpał zwolna wśród drzew chyląc głowę, by czołem nie uderzyć o konary. Szedł jakoś leniwie i ciężko. Piękne potężne ciało lśniło wśród roślin jak największy i najrzadszy owad. Wspaniałe w ruchu mięśnie grały potęgą zdrowia i siły. Co najtęższy nawet zwierz lękliwie spozierał nań przez gąszcze, czy aby nie gniewny?

Lecz Adam nie był gniewny. W szafirowych oczach widniał raczej smutek. Sam nie wiedział, co mu dolega, czego mu brak w tym Raju, wypełnionym po brzegi pięknem i szczęściem. W ucisku żeber łomotało i walczyło w nim o coś serce, które niejasno czuło swą samotność. Przechodząc mimo — schylił wyniosły grzbiet i pogłaskał tygrysa; pobawił się chwilę z lwem, którego minął na polance, oślepiającej słońcem i piaskiem; gwizdnął od niechcenia na ptaszęta, które natychmiast opadły go jak ćwierkająca chmura. Wreszcie zniecierpliwiony odłamał w przejściu wielką gałąź pomarańczowego drzewa i ległszy w cieniu począł jeść leniwie owoce, znikające w jego dłoni jak cukierki.

Znów przelotnym spojrzeniem śmignął po cudach Raju i znów serce poczęło w nim szemrać tęsknie. Wreszcie sen go zmożył. Piękna głowa opadła na kwiaty, a owady jęły natychmiast cisnąć się mu do ust, zbierając z nich niewyschłą jeszcze na wargach słodycz.

Ukryty za białymi obłokami Pan cały czas śledził uważnie Adama. Najświętsze czoło zasnuło się zadumą, aż słońce na chwilę przygasło. Długo patrzał na śpiącego, a potem zwrócił się do Swych Zastępów:

— Niedobrze jest Człowiekowi samemu! — przemówił nagle —stwórzmy mu niewiastę, ażeby wspólnie posiedli tę ziemię! — I rękawem śnieżnej sukni zatoczył wielki łuk nad światem.

Chwilę jeszcze przemyśliwał Wszechmocny, spoglądał na słońce, kwiaty i owady, przysłuchiwał się dźwięcznym pluskom strumyków — potem uśmiechnął się tkliwie i cicho i zstąpił ku Adamowi.

Ten spał wciąż, z ustami nieco rozchylonymi, cudny, niewinny i czysty. Gdy niewidoczne były rozum i siła, zgaszone snem, wydawał się dużym dzieckiem. Wszechmocny miłośnie przeciągnął dłonią po bujnych włosach najmilszego tworu, musnął powieki które zatrzepotały pod tym dotknięciem jak aksamitne motyle — wreszcie nakrył mu całą twarz dłonią i tchnął nań taką głębię snu, by nie rozbudził się zanim rozkaz usłyszy.

...z twej własnej kości stworzę ci ją... — szeptał Pan dobrotliwie — byś bez niej obejść się nie mógł, jako że stanowić będzie część twojej jaźni...

Pod jednym uderzeniem wszechmocnej ręki otworzyła się pierś Adama, jak klatka z ptakiem. Ptak ów czerwony i płomienny — serce, obijał się lękliwie i tęsknie o pręty żeber, jakby rozbić je chciał i ulecieć niewiadomo do czego. Postanowił Pan tylne żebro śpiącemu odjąć, ujął więc w dłonie bijące serce i złożył ostrożnie na mchach. Tętniło gorąco, a tak mocno, że owady, a małe ptaki wraz z nimi, zerwały się spłoszone i odleciały w głąb Raju. Natomiast zwierzęta przybliżyły się ciekawie i mrużąc ślepia, w które bił oślepiający blask Stwórcy, uważnie spoglądały na zwalonego snem ziemskiego władcę i zbliżały się ku tętniącemu na trawach sercu, zwabione jego dziwną muzyką. Ten niezwykły dźwięk oszałamiał je i upajał. Mogłyby słuchać — słuchać — bez końca!

Stwórca nie odegnał zwierząt, ani bronił im słuchać. Zajęty Swą wspaniałą myślą, cały pochłonięty twórczym postanowieniem, które miało dać ziemi najwdzięczniejszy twór — wyjął żebro, zamknął pierś Adama, zasklepił żebra, mięśnie i złocistą skórę, a potem oddalił się ku zwałom gliny: z niej niegdyś powołał do istnienia kształt Adama, a teraz wokół żebra ukształtować miał jego utęsknioną towarzyszkę.

Więc powoływał Pan do życia cudną postać... Zbierał piękno kwiatów i lekkość motyli, pełną garścią czerpał ze słońca i obłoków...

...a serce Mężczyzny leżało — zapomniane! — na mchu i biło... biło... biło...

Zwierzęta bały się podejść zbyt blisko, bo znały mocną rękę władcy. Ale pies, szczególny faworyt Adama, któremu czasem służył za poduszkę, a częściej za podnóżek (bo tak sobie władca życzył w swym rajskim rozleniwieniu), najwięcej miał śmiałości. Kolując ostrożnie podszedł wreszcie tuż, — nagle porwał w zęby ciepły pulsujący, grający dziwnym dźwiękiem cud, i nim inne stworzenia wokół opamiętały się buchnął w zieleń, umknął i skrył się tak, że Adam nawet nie prędko by go odnalazł.

Delikatnie ułożył zdobycz na ziemi. Przyglądał się jej uważnie, strosząc uszy i kręcąc łbem na lewo i prawo, zniżał głowę lub unosił, zachwycony i zdziwiony. W pysku pozostał mu smak świeży i ciepły. Pies oblizał się szeroko, a cudowny smak spotęgował się jeszcze. Wrażliwe nozdrza połechtał luby zapach krwi.

Pies obejrzał się wokół podejrzliwie, po przez zieloną budę liści zerknął lękliwie w niebo, ale nikt nań nie patrzył. Pchnięty jakąś siłą szaloną, instynktem którego opanować nie mógł, chwycił w zęby adamowe serce i począł szybko jeść. Łykał, aż mu się uszy trzęsły. Zjadł. Oblizał się... Legł w cieniu.

I oto przedziwne rzeczy poczęły się dziać z nieszczęsnym zwierzęciem:

Dzikie, przekrwione ślepia zajaśniały, złagodniały i zmiękły, jakby je ktoś powlókł jedwabiem. Źrenice poczęły mienić się wyrazem tęsknoty i wierności. Sierść zjeżona i oporna spadła na grzbiet tkliwie i poddańczo. A w piersi złodzieja poczęło coś tłuc się i dygotać bezmierną potrzebą kochania. Zapragnął nagle cały oddać się komuś, służyć mu, w oczy spoglądać, życie poświęcić. Wszystka miłość i wierność, bezinteresowność i szlachetność, jakie zamknięte być miały w piersi Adama i jego synów, weszły oto w psa, który sam siebie przez nieopatrzne łakomstwo, uczynił na zawsze niewolnikiem — serca.

Pies wybiegł z ukrycia, by pobiec gdzieś śladem swej tęsknoty. A tymczasem przez cały Raj tchnęło zdumieniem i zachwytem: jakaś postać wysmukła i biała, bardzo podobna do Adama a jednak zupełnie inna, złocistymi włosami owiana do samych stóp, wykwitła wśród kwiecia, jak kwiat ze wszystkich najpiękniejszy. Osłonięta cieniem drzew szła zwolna po trawach tam, gdzie leżał Adam.

Wszechmocny spoglądał z obłoków i błogosławił z uśmiechem jej krokom.

— Miłujcie się i rozmnażajcie! — zezwolił.

Zbudził Adama jednym dalekim tchnieniem. Mężczyzna siadł pod pniem i począł spoglądać wokół, jakby zdziwiony. Niezwykłą lekkość miał w sobie, a dawny tęskny ucisk w piersiach znikł bez śladu. Odpadł smętek i żal, które go gnębiły przed snem, a owładnęła nim świadomość swej siły i przewagi oraz brutalna pewność siebie. Żwawo zerwał się — i tuż przed sobą ujrzał nowe zjawisko. Było tak piękne, że zapatrzył się w nie, oniemiały. W jednaj chwili podszepnął mu instynkt, najcenniejszy dar Stworzyciela, że to zjawisko przynosi rozkosz i radość. Równocześnie rozum oznajmił mu, że ta, co przybyła, jest o wiele słabsza od niego, więc łatwo ją nagnie do swych rozkazów i chęci. Serca nie miał... ale pozostał mu rozum i zmysły. Rozum podszepnął mu, że ona może mu być użyteczna, a zmysły zapragnęły jej. Więc uśmiechnął się podstępnie.........

Odwzajemniła uśmiech perłowym błyskiem ząbków, nieświadoma, że gdy szał mu minie, będzie ją tarzał u swych nóg, poniewierał i deptał — by znów po tym, gdy w nim zmysły zagrają, a rozum wskaże potrzebę, mamić ją słowami i pieszczotami, oszukiwać obietnicami, oślepiać miłością — udawaną i nawskroś egoistyczną.

Wyciągnęła ręce. Wiedziała już, bo serce jej to rzekło w pierwszą chwilę istnienia, że on jest jej sądzony na zawsze, że żyć nie będzie mogła bez mocnego uścisku jego mięśni i palących błysków jego oczu. Było w nim wprawdzie coś, co przejmowało ją trwogą, ale nawet w tym lęku była rozkosz...

Tymczasem pies biegł ku nim, rozsuwając z szelestem kwiaty i trawy, szumiąc wśród krzewów i płosząc w pędzie owady i ptaki.

Ujrzawszy panów swymi nowymi oczyma przypadł, skamląc radośnie, do ich nóg, czołgał się drżący szczęściem i kochaniem, lizał ich stopy, a potem zaczął podskakiwać im do rąk i twarzy z radosnym szczekaniem i szczenięcą swawolą. Ewa pogłaskała zwierzę, a ono łasiło się jej u kolan.

I odtąd towarzyszył im wciąż — wierniejszy od cienia, bo cień znikał w nocy, a on nie odchodził... Spał u ich stóp, z ich rąk tylko przyjmował jadło, a gdy zasnęli, zmęczeni swym szczęściem, siadał czujnie koło nich i strzegł ich spoczynku, gotów każdej chwili oddać życie w ich obronie.

Nierzadko Adam huknął i krzyknął na wierne stworzenie; nierzadko przez grzbiet zdzielił sękatą gałęzią: psa nic już nie mogło zniechęcić ni odstraszyć.

...i poszedł za nimi — on jeden — gdy gniew Pana wygnał ich z Raju, skazując na pracę i znój życia. Podjął się z nimi i pracy i znoju... Nie opuścił nigdy w żadnej doli, nie dał się odgrodzić od nich żadną przestrzenią. Choćby wygnali — wróciłby.

I trwa — miłujący, wierny, ślepo oddany — przy wszystkich pokoleniach Adama i Ewy.

Wiersz

Chcę wiersz napisać i szukam natchnienia,
co na kształt wiatru po głowie mi goni,
w niejasne barwy obleka marzenia
i topi w myślach przepastnej toni.
Gromada myśli poczętej się snuje,
czeka na formę, barwę i kształt rymu,
i cicho w myślach, gmach wiersza buduje,
zda się, że wieszczów dosięga olbrzymu.
Już gdy zmieszane myśli w płynnym stopie,
zacznę wylewać na arkusz papieru,
wiersz, miast budować, sam sobie grób kopie,
nie tak jak w głowie, kładzie się bez celu.
Jedna myśl hyża o bajecznym blasku,
przemknie przez głowę, zniknie bez pamięci,
druga, jak rycerz, zakuta w stal kasku,
romantycznością i kolorem nęci...
...i miast wylewać wiersz, w głowie gotowy,
wtedy, gdy piszę — — — rodzi się nowy!

Mieczysław Kukurba

Bajka

W dzieciństwa Twego dni mozaikę —
Wplątano nieraz złotą nicią,
Pełną uroku, wrażeń bajkę —
Fantazją żywą, tajemniczą. —
Boisz się teraz w snach młodości,
Że przecież to nieprawdą było, —
Tak mało w życiu jest radości,
Chociaż się w bajce szczęście kryło. —
Jeśli chcesz jednak opromienić —
Nawet zwątpienia dzień jesienny,
Miłością życie w baśń przemienić —
Wsłuchaj się w serca rytm tajemny. —
Powróci znowu wiara w ludzi,
Prawdę rozróżnisz w steku bredni,
Poznasz co czyste, a co brudzi,
Bajką się stanie dzień powszedni.

Czesław Mitschke



MIŁOŚĆ I KINO

Ozłociły się drzewa. Stragany pokryły masy soczystych owoców. Radośnie i beztrosko mówiło miasto. Można go było wyraźnie usłyszeć, ba nawet zrozumieć w stuku drewniaków o trotuary, w natarczywym dzwonieniu wymijających się tramwai. Na główne corsa, zawitali wyświeżeni Don Juani i Casanowy XX wieku.

Marek był dzisiaj w formie. Składała się na to, piękna pogoda, świadomość swego wyglądu, dobrze wypchane kieszenie! Spacerował już dłuższy czas. I nagle znudzony jego przywykły do szablonów wzrok w trakcie czynienia jednego tanecznego „pas" z piękności na piękność, został olśniony! Bóstwo ... Skrzyżowanie wszystkich słynnych gwiazd ... Ucieleśnienie nieziszczonych marzeń ...

Blond włosy opadające puklami na ramiona super proporcjonalnej figurki, czarne urzęsione długo powieki, kryjące modny lapis lazuli, zgrabna maleńka nóżka ... Na chwilę wstrzymał oddech, a gdy dłużej już nie mógł, postanowił za wszelką cenę poznać ... cenę bóstwa. Bogowie (zapewne krewni) sprzyjali mu Bo oto blond czupryna schyla się nad nieznośnym drewniaczkiem, który pękł w momencie, gdy obarczone pakunkami ręce nie mogły nic poradzić.

— Pani pozwoli ... — nieskazitelnie wyprasowane kantki na myśl o klęknięciu oburzyły się, ale szybko umilkły przyduszone muskularnym kolanem.

— Ooo! Bardzo dziękuję.

— Drobnostka! Tak, tak dzisiejsze czasy ...

— Och, ta wojna!

Lody przełamane. Gdy w dwie godziny potem ściskał rączkę bóstwa przed jej domem, przechodzeń usłyszał:

— A więc pamiętaj, jutro o 3.15 przed „Wandą", idzie prima film ...

Prędko kroczy amor!



UROCZYSTOŚCI POGRZEBOWE ŚP. KS. INFUŁATA DRA J. KULINOWSKIEGO

Przeżywszy lat 80, zmarł w Krakowie ks. Infułat dr Józef Kulinowski, Archiprezbiter kościoła Najśw. Marii Panny. W czasie swojej 45-letniej służby kapłańskiej rozwijał nie tylko działalność duszpasterską i charytatywną, ale troszczył się również o odbudowę i utrzymanie kościoła N. M. P., tego wspaniałego zabytku przeszłości. Niezliczone ilości wiernych towarzyszyły swemu Arcypasterzowi na drodze do wiecznego spoczynku. Jego Eminencja Książę Metropolita Adam Sapieha celebrował uroczystą sumę żałobną.

Fot. Borek



PRZYSZEDŁEŚ

. . .że przyszedłeś do mnie pieśnią,
(która niechaj nie gaśnie)
i, że nie pryśnie czar
oczekiwanych baśni —
Wiesz!
. . .że las się zasłuchał
rozmodrzył się błękit nad nami
— że się ku szczęściu wspinam
że się w nie wpijam ustami
Wiesz!
Pianissimo grają szumy leśne
szmery są cichoszelestne
— pieszcząc radość zbudzoną
z październikowych westchnień
Słysz!
Kiedy dłoń moja
w Twoim zastyga uścisku
i kiedy słodka jest
ramiona najmilsza bliskość
Śnisz!
Świat cały z myśli znikł
odkąd znalazłam Ciebie
żyję na ziemi, a zda się, że w niebie
Drżysz!?

Amalia Łuczyńska

ĄCIK SZACHOWY NR 25

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

OBRONA ŁOTEWSKA

(Ciąg dalszy).

Wariant III, obrona A, subwariant I

1. e2—e4 e7—e5	5. d2—d3! [2]) +
2. Sg1—f3 f7—f5	Dr. Euwe
3. e4×f5 [1]) e5—e4	Theorie d. schaakopeningen
4. Sf3—g5! Sg8—f6	

[1]) Blümich (w XV wyd. podr. Dufresne'a) powiada: „Ten sposób gry nie wydaje się być godnym polecenia dla białych, w każdym razie jest to nie tak dobry sposób kontynuowania gry, jak 3. S×e5".

[2]) Ten ruch może stworzyć białym doskonałą grę (dr Euwe).

Ten sposób gry nie jest jeszcze bliżej zbadanym i wymaga jeszcze szczegółowszego przestudiowania.

Nie zaleca się białym grać tu: 5. G—e2, gdyż po: d6 6. G—h5 K—e7 7. S—f7 H—e8 8. S×h8 H×h5 9. H×h5 S×h5 10. g4 S—f6 11. W—g1 S—c6 12. W—g3 S—d4 13. K—d1 wywiązałyby się pozycja wariantu III, subwariantu II, która jest wątpliwej wartości dla białych, jak to przy odnośnym omówieniu zaznaczamy.

Wariant III, obrona A, subwariant II

1. e2—e4 e7—e5	8. Sf7×h8 He8×h5 [3])
2. Sg1—f3 f7—f5	9. Hd1×h5 Sf6×h5
3. e4×f5 e5—e4	10. g2—g4 Sh5—f6
4. Sf3—e5 Sg8—f6	11. Wh1—g1 Sb8—c6
5. Gf1—e2 d7—d6 [1])	12. Wg1—g3 Sc6—d4
6. Ge2—h5+ Ke8—e7	13. Ke1—d1 d6—d5 [4])
7. Se5—f7 [2]) Hd8—e8	+

[1]) Niekorzystnym byłoby: 5... G—c5 6. G—h5+ g6 7. f×g6 0—0 8. g×h7+, gdyż czarne nie mogły zastosować analogii gambitu królewskiego (wariant Cunninghama), w którym białe chowają się za piona h2.

Jeśli 5... h5 to 6. d3 d6 7. S—g6 W—h7 8. d×e4 itd.

[2]) Tu wchodzi też w rachubę: 7. G—c4 G×f5 8. S—e3 G—e6 9. d3 (Bilgner VIII wyd.).

[3]) Lub 8... S×h5 9. g4 S—f6 (9... S—f4 10. d3!) 10. S—c3 +

[4]) Bilgner (VIII. wyd.) podaje, że białe mają przewagę, gdyż skoczek na h8 nie może być zdobytym przez czarne.

Natomiast nowsze podręczniki (Collign-Larobok, Dr. Euwe — Theorie d. schaakopeningen, Blümich — XV. wyd. Dufresne'a) uważają za lepszą raczej grę czarnych, gdyż mogą one grać później 14... K—e8, po czym 15... G—d6 i białe tracą skoczka h8.

Przewaga 2 lekkich figur czarnych za wieżę i piona powinna być decydującą.

Przychylamy się do zapatrywania nowych poglądów.

Wariant III, obrona B

1. e2—e4 e7—e5	9. Sc3×e4 Sf6×e4 [5])
2. Sg1—f3 f7—f5	10. Sg5×e4 d5×e4 [6])
3. e4×f5 d7—d6 [1])	11. Hd1—h5+ g7—g6
4. d2—d4! e5—e4	12. Hh5—e5+ Ke8—d7
5. Sf3—g5! Gc8×f5	13. g2—g3! [7]) Kd7—c8 [8])
6. Sb1—c3 Sg8—f6 [2])	14. Gf1—h3+ Sb8—d7
7. f2—f3! d6—d5 [3])	15. Gc1—g5 +
8. f3×e4 Gf5×e4 [4])	

[1]) Ten sposób obrony nie jest korzystnym dla czarnych. Powstaje pozycja obrony Philidora, dająca przewagę białym.

[2]) Jeśli 6... d5 to 7. h3.

[3]) Lub 7... e×f3 8. H×f3 G×c2 9. H×b7 albo 7... H—e7 8. f×e4 G×e4 (8... S×e4 9. S—d5) 9. Sg×e4 S×e4 10. G—b5+ (10. S—d5? H—f7!) jakk. 11. 0—0 itd. +

[4]) 8... d×e4 9. G—c4 lub 8... H—e7 9. e5 +

[5]) Jeśli 9... H—e7 to 10. G—b5! po czym 0—0; jeśli 9... d×e4 to 10. G—c4 +

[6]) W razie 10... H—e7 11. G—b5+! po czym 12. 0—0 +

[7]) 13. H×h8?? G—b4+! +

[8]) Można się łatwo przekonać, że białe i po innych ruchach czarnych w tej sytuacji muszą uzyskać przewagę.

CZĘŚĆ OGÓLNA

STUDIUM Nr. 11

A. Herbstmann (DSchztg. 1941)

Czarne: Kd8, Gd3, Se1, piony: f5, g6, h6 (6).
Białe: Kc6, Gd4, Gh5, Sh1, pion: h4 (5).

Studium 5+6 11.

Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie problemu Nr 11 (Davis i Kipping): 1. H—e5!

Partia Nr 39

Białe: NN. — **Czarne: L. J. Cole**

Obrona francuska

1. e4 e6	10. h3 c6
2. d4 d5	11. S—d2 H—c7
3. e×d5 e×d5	12. f4 [1]) S—f5
4. S—c3 S—f6	13. G—f2 G×f4
5. G—d3 G—d6	14. h×g4 [2]) G—h2+
6. G—e3 S—c6	15. K—h1 h×g4
7. S—f3 G—g4	16. G×g4 G—g1+
8. 0—0 S—e7	17. H—h2+
9. G—e2 h5	

[1]) Złe, koszuje piona.

[2]) Prowadzi forsownie do mata w 4 ruchach ze strony czarnych.

Partia Nr 40

Białe: H. Weenink — **Czarne: S. Landau**

grana w turnieju w Amsterdamie w r. 1930

Obrona indyjska.

1. d4 S—f6	14. 0—0—0 G—f5
2. S—c3 g6	15. H—c4+ H—e6
3. e4 d6	16. H×c7+ K—g8
4. S—f3 G—g7	17. h6 W—f7
5. G—c4 S×e4? (0—0!)	18. W—d8+ GW—f8
6. G×f7+ K×f7	19. W×f8+! K×f8
7. S×e4 W—f8	20. H—d8+ H—e8
8. h4 e5	21. h7! W×h7
9. d×e5 d×e5	22. G—e7+! W×e7
10. H—e2 h6	23. W—h8+ K—f7
11. h5 g5	24. W×e8 W×e8
12. Sf×g5 h×g5	25. S—d6+
13. G×g5 H—e8	Czarne poddały się.

Partia Nr 41

(N. Jork—N. Płd. Walia)

Białe: C. K. Thomas — **Czarne: M. Ryan**

grana korespondencyjnie o 11 tys. mil.

Gra 2 skoczków w obronie.

1. e4 e5	11. G—f4 0—0
2. G—c4 S—f6	12. S×c6 b×c6
3. d4 S—c6	13. H—e2 G—f6
4. S—f3 e×d4	14. W—d1 G—d7
5. 0—0 S×e4	15. W—e3 H—c8
6. W—e1 d5	16. S—e4 G—h4?
7. G×d5 H×d5	17. H—h5 G—g4
8. S—c3 H—d8	18. H×4 G×d1
9. W×e4+ G—e7	19. S—f6+
10. S×d4 h6? (f5!)	Czarne poddały się.

Partia Nr 42

Białe: Colle — **Czarne: Ribera**

t. m. Barcelona 1929

Pionem hetmana.

1. d4 S—f6	12. e×f6 c5
2. S—f3 e6	13. H—e2 S—c6
3. e3 b6	14. 0—0—0 H—c7
4. G—d3 G—b7	15. H—e3! 0—0—0
5. Sb—d2 g6? (c5!)	16. G—b5 Wh—e8
6. e4 d6	17. Wh—e1 a6?
7. e5 d×e5	18. H×h4 G×d1
8. d×e5 Sf6—d7	19. G×c6 H×c6
9. S—e4 G—g7	20. S×e5 H×f6
10. G—g5 H—c8	21. S×d7
11. S—f6+ G×f6	Czarne poddały się.

— Wiesz, oświadczyłem Ninie, że jeżeli da mi kosza, to sobie życie odbiorę.
— No, i co ona na to?
— A nic, zapytała czy w tym wypadku brat jej będzie mógł liczyć na posadę po mnie.

*

— Cóżeś tak długo robił na ulicy? Przecież od pół godziny powinieneś już być w domu.
— A bo ktoś zgubił pięćdziesiąt złotych, pomagałem mu szukać.
— I cóż udało się?
— Nie, on sam je znalazł.

*

— O, gdybym ja była posłuchała swojej matki, która mi odradzała małżeństwo z tobą!
— Co ty mówisz? dotychczas nie miałem pojęcia, że twoja matka była dla mnie aż tak życzliwą.

*

Profesor na egzaminie prawniczym zapytuje studenta:
— Podatek od psów jest podatkiem pośrednim. Dlaczego?
— Bardzo proste, panie profesorze, bo nie psy go płacą.

*

Sędzia: — Czy oskarżony przyznaje się, że uderzył żonę krzesłem tak silnie, że krzesło się złamało?
Oskarżony: — Tak jest, panie sędzio.
Sędzia: — Żałuje pan swego czynu?
Oskarżony: — Owszem. Krzesło było przecież stylowe.

*

— O ile sobie przypominam, to w tej wsi urodził się jakiś wielki człowiek.
— No, do tej pory przychodziły tu tylko małe dzieci na świat.

*

— Jeżeli kiedykolwiek pożyczę od kogo pieniądze, to tylko od pesymisty.
— Dlaczego?
— No, bo pesymista już z góry liczy się z tym, że ich nigdy z powrotem nie zobaczy.

*

On: — Dlaczego piękne kobiety są zazwyczaj głupie?
Ona: — Bo piękne musimy być, żeby się w nas mężczyźni kochali, a głupie po to, żebyśmy się w nich mogły zakochać.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

TĘSKNOTA ZA WSIĄ

Śni mi się sielska, anielska,
ziemiańska atmosfera:
— dwór z klombem, lipą i gankiem,
dzwonek do doju rankiem
i gdzieś daleko wśród krzewów i krzaków
zamknięte na stokrotny klucz sieci pajęczych.
dwa zera...

Kraków
mnie męczy.
Ani tu słońca, ni tęczy.
ani złotego księżyca,
a jam jest człowiek prosty, który się zachwyca
zsiadłym mlekiem z śmietaną, skwarkiem wśród ziemniaków.

Taki już jestem, że wolę
własnoręcznie trząść śliwą i czuć, jak ulewa
owoców bije mnie w plecy
niż (niech się pan redaktor nie gniewa)
napisać bardzo śmieszny sonet o miłości,
przepisać go na czysto, czekać do soboty,
skwitować honorarium,
iść do sklepu i kupić węgierek sześć
i zjeść...

O raju!! Wyśniony raju!
O kraju wszechmożliwości.
ty wsi, miodna i płodna, malowana żytem,
wyzłacana pszenicą, któż, jak ja cię ceni?!
— Czyż może być coś w świecie równie znakomite
jak wiejski sos do swojskiej huzarskiej pieczeni,
lub podana na tłusto
kaczka z kapustą?
Lub jajecznica z dziesięciu jaj
(aj!!) z szynką
i winko??

Może ktoś z jaśnie oświetleńszych dziedziców
upije i namówi swojego sąsiada
(najlepiej kogoś, do kogo ma ansę)
by mnie zaprosił na dłuższe jesienne wiejskie rekolekcje...
z ciszą, jadłem, wypitkiem oraz preferansem?
Zrobię subiekcję,
lecz ostatecznie
ja go też potem w mieście ugoszczę serdecznie
w myśl zasady: „czym chata bogata, tym rada".

Wujcio z Komina

REWANŻOWY SONET

Wujciowi z Komina

Wujciu! A raczej: Dziadku! (i Pradziadku także)
łzy ronię z rozrzewnienia sute, słodko-słone
żeś przysłał mi gorący a tajemny sonet
i ukazałeś szczęścia nowego miraże!
Ach, nie marzyłam nawet... Na samą myśl płonę...
lecz wprzód przeżyć musimy mnóstwo przeobrażeń!
I zanim sobie z Tobą miłośnie pogwarzę
posyłam... na papierze... te słowa natchnione:
Cudna jestem... i słodka... Tak! — w Twoim marzeniu!
(Czyżby to Pan Redaktor zrobił ze mnie Wenus?)
Postaram się mieć wszystkie wdzięki, których szukasz!
Przyjdę Wuju, vel: Dziadziu, vel: Pradziadku nawet,
przysięgam na mą młodość(!), urodę(!) i sławę(!)
że — poczekawszy — przyjdę... do Twego prawnuka!

Krysta Opalińska



— Pyszne ciasteczka. Dużo też masełka dała pani do nich?
— Ani pół grama, natomiast wszystek smalec z naszego biednego Pikusia.

Rys: Czecha — Kraków



— Najbardziej dokucza mi serce, panie doktorze.
— Hm, o ile ja się orientuję, to tylko młody doktor tej chorobie da radę...

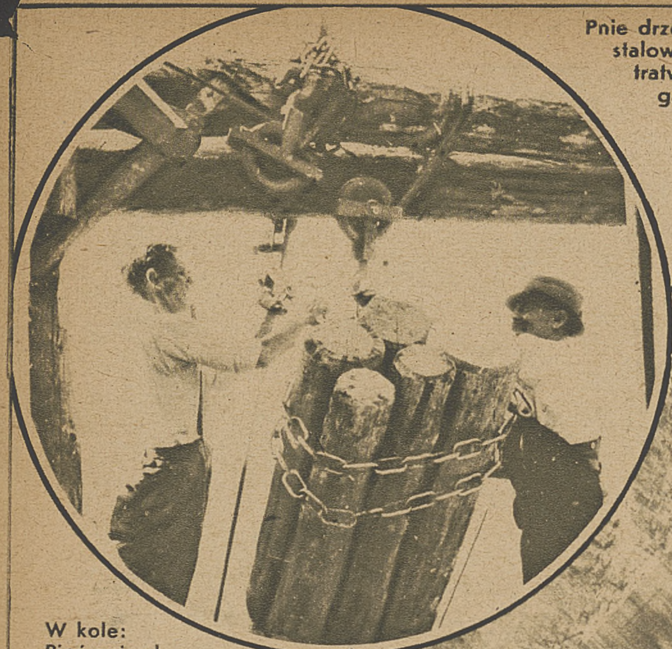
Wiener Illustrierte



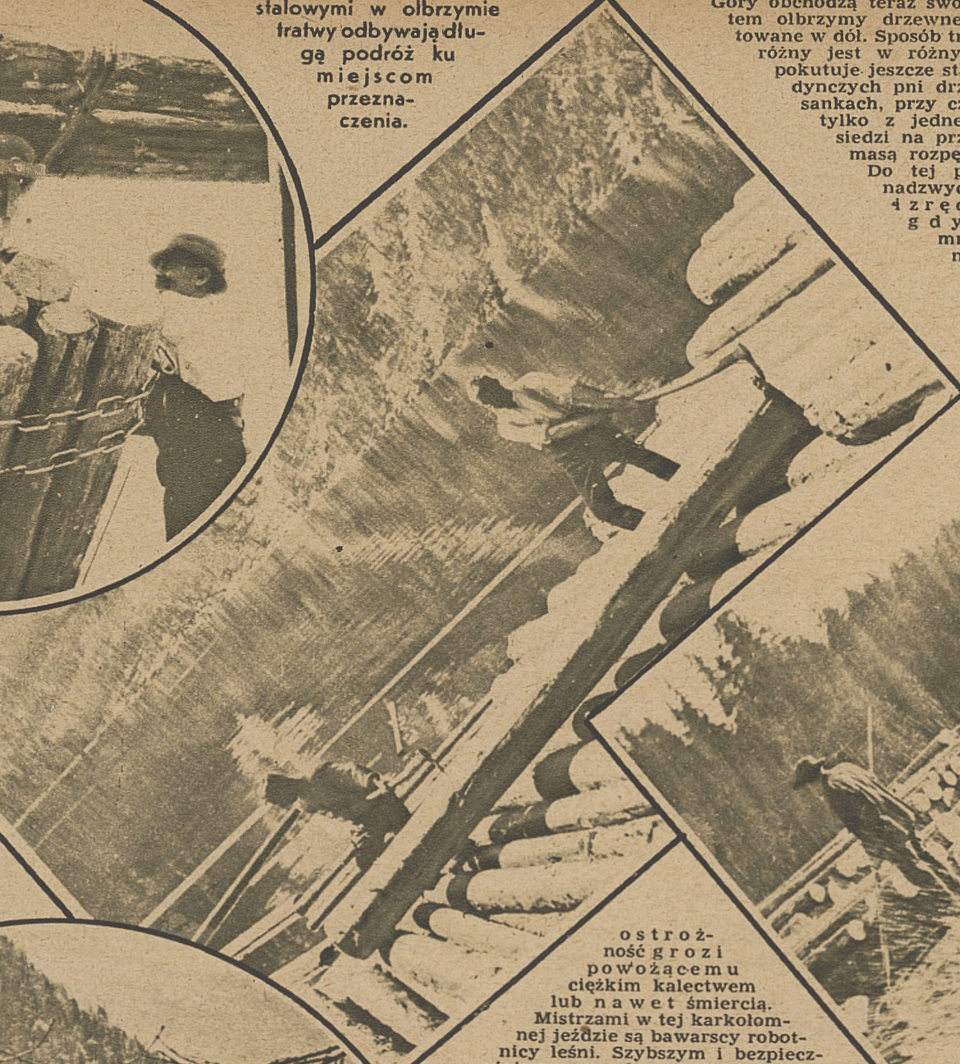
JESIENNE ROZWAŻANIA KOBIECE

... nie chce, nie dba, żartuje... Ach, jacy ci mężczyźni przewrotni i skomplikowani; każdy z nich jest głupi, gdy jest zakochany, a nie jest głupi, by się zakochać...

Rys. J. Paluch — Kraków



Pnie drzewne spojone linami stalowymi w olbrzymie tratwy odbywają długą podróż ku miejscom przeznaczenia.



Późną jesienią ożywiają się góry znowu zgiełkiem i hukiem. Góry obchodzą teraz swoje „żniwa" drzewne. Zwalone latem olbrzymy drzewne muszą być teraz przetransportowane w dół. Sposób transportowania drzewa w doliny różny jest w różnych okolicach. Gdzieniegdzie pokutuje jeszcze stary zwyczaj zwożenia pojedynczych pni drzewnych na dwu małych sankach, przy czym obsługa składa się tylko z jednego człowieka, który siedzi na przodzie i steruje tą masą rozpędzonego ciężaru. Do tej pracy potrzeba nadzwyczajnej siły i zręczności, gdyż najmniejsza nieostrożność grozi powożącemu ciężkim kalectwem lub nawet śmiercią. Mistrzami w tej karkołomnej jeździe są bawarscy robotnicy leśni. Szybszym i bezpieczniejszym sposobem spuszczania drzewa z gór jest stosowanie rynien zbudowanych z silnych grubych desek, po których drzewo wypuszczone z miejsca „startu" na górze mknie w dół jak lawina. Pędzące z szybkością często ponad 100 km na godzinę olbrzymie pnie drzewne po stromym stoku górskim, ujęte w tor nadający im kierunek, spadają w jezioro, gdyż tylko woda jest w stanie zahamować pęd tych olbrzymów. Krótkie pnie zrzuca się z prostopadłej ściany górskiej z wysokości 200 metrów wprost w jezioro. Obecnie transport drzewa odbywa się przeważnie na drodze mechanicznej, za pomocą specjalnych kolejek linowych.

Fot: Eurofot

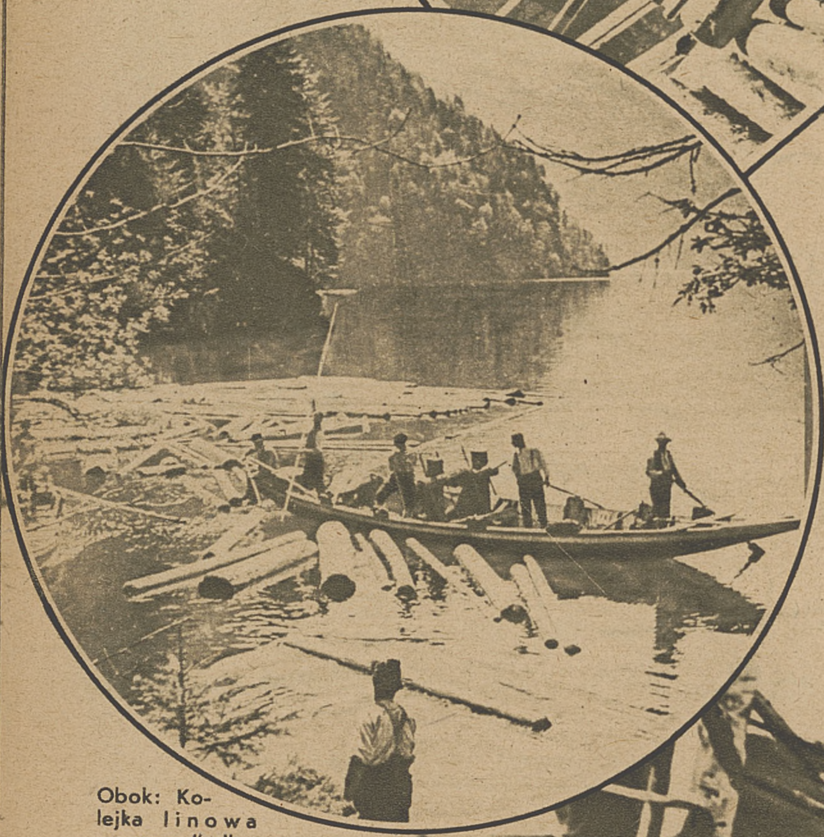
Poniżej: Spuszczone ku do[illegible]m drzewo wrzuca się do jeziora, gdzie łączy się je w tratwy.



W kole: Pięć pni odbywa równocześnie „podróż" w doliny.

Na malowniczych jeziorach Alp bawarskich często widzi się flisaków spławiających drzewo na tratwach.

W kole: Robotnicy przy spławianiu drzewa.





Obok: Kolejka linowa „spuszcza" olbrzymy leśne w dół.



DRZEWNE ŻNIWA